

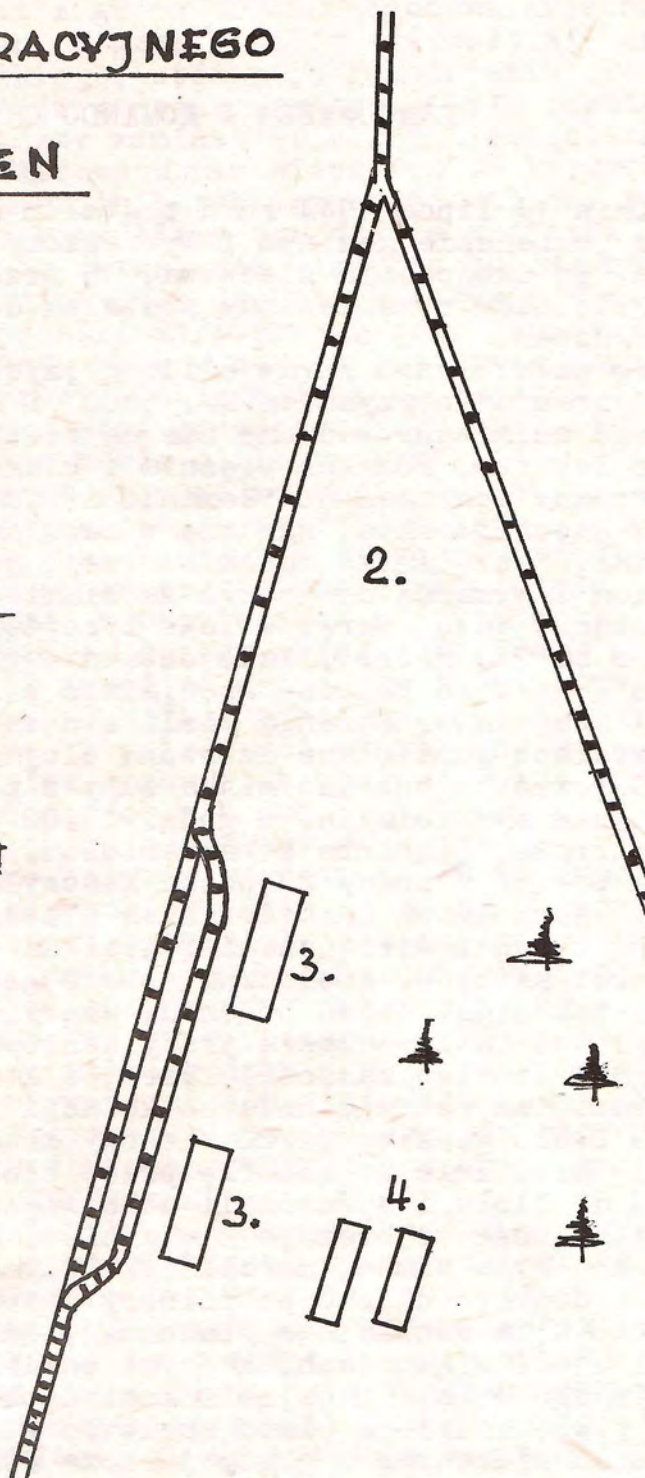
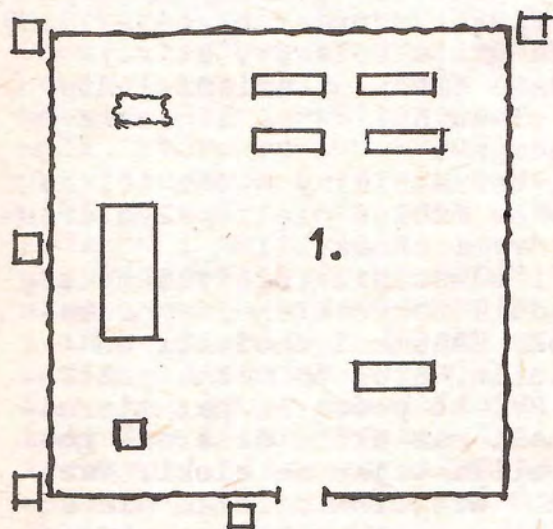
# PLAN SYTUACYJNY

## OBOZU KONCENTRACYJNEGO

### GROSS KOSCHEN

#### LEGENDA

1. TEREN OBOZU
2. TEREN SKŁADOWANIA  
WRAKÓW SAMOLOTÓW
3. BARAKI DO DEMONTAŻU  
SAMOLOTÓW
4. BARAKI STRAŻY  
OBOZOWEJ



Opracował Kazimierz Jankowski. Zaznaczone symbolicznie drzewa dowodzą, że komando Gross-Koschen było usytuowane w lesie.

Nr. archiwum Gross-Rosen 3.15.1.5.

## PRACOWAŁEM W KOMANDO GROSS-KOSCHEN

Dnia 14 lipca 1944 roku zostałem aresztowany w Krotoszynie, przez poznańskie gestapo i wywieziony do obozu w Żabikowie k/Poznań. Po ukończeniu śledztwa, 15 września, wraz z liczną grupą współwięźniów przewieziony zostałem do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Po załatwieniu spraw ewidencyjnych "zugangów", łaźni, wydaniu "ubrania" otrzymałem Nr. 58807 i skierowany na blok 4. Następnego dnia zaprowadzono nas na rewir, gdzie byliśmy badani przez lekarza, również więźnia i kierowani do różnych prac. Ja skierowany zostałem do "Komando Steinbruch" - kamieniołom.

Następnego dnia, zgodnie z regulaminem obozowym - godz. 6.00 pobudka, "śniadanie" kubek czarnej, gorzkiej kawy, zbiórka przed blokiem i wymarsz do pracy. Na bramie "Mutzen ab" liczenie przez esesmanów, dalej skręt w lewo i zejście do kamieniołomu, odległego o ca 200 metrów. Jako ostatnia grupa schodziło "Sonderkommando". Byli to koledzy specjalnie pilnowali i maltretowani przez esesmanów. Ubrania mieli z workowego materiału, na plecach i piersiach pomalowane czerwoną olejną farbą duże koła. Godzina 12.00 powrót - "obiad" miska zupy z pokrzyw, buraków pastewnych lub coś w tym rodzaju. O godz. 13.00 - powrót - ponowny wymarsz przez bramę, liczenie i kamieniołom. Powrót z pracy o godz. 18.00. Każdy powrót z pracy do obozu kończyła grupa kolegów, którzy nieśli na noszach zamordowanych w czasie pracy w kamieniołomie lub zmarłych z wycieńczenia. Apel na placu apelowym, liczenie i powrót na blok. Apel trwał około godziny.

I tak mijał dzień po dniu, szary, beznadziejny w obawie, że następnego dnia w czasie pracy esesowiec zabije cię zwykłym drewnianym kijem lub zaszczuje psem, z którymi chodzili.

Pamiętam pewnego dnia po kolacji i odwszeniu położyliśmy się spać. Około godziny 22.00 blokowy zbudził wszystkich i wyprowadził w bieliźnie na zbiórkę przed blok. Esesmani chodzili od bloku do bloku i sprawdzali stan więźniów. Ktoś po cichu przekazał wiadomość że brakuje 3 więźniów. Był to początek października i noc była zimna, marzliśmy. Trzymali nas około czterech godzin i dopiero daleko po północy pozwolili wejść na bloki. Następnego dnia doszła nas wiadomość, że 3 więźniów uciekło ale zostali ujęci w kanałach, którymi chcieli wydostać się na wolność.

Innego dnia, wracając z kamieniołomu na obiad ujrzelśmy dużą grupę ludzi na placu apelowym z walizkami i różnym bagażem. Wracając wieczorem z pracy jeszcze stali ale odsunęci pod budynki kuchni. Przetrzymali ich na dworze całą noc. Był to podobno cały pociąg Żydów z Węgier którym pozwolono zabrać część mienia aby tutaj dokonać szczegółowej rewizji każdego z osobna aby wyłuskać wartościowe rzeczy /filong/.

Blokowym bloku 4 był Polak, szczupły wysoki blondyn. Jak fama głosiła był to kowal z okolic Częstochowy, człowiek wyjątkowo niedobry, bez serca i sumienia, więźniów często bił.

"Komando Steinbruch" prowadził, o ile sobie dobrze przypominam, kapo Józef, człowiek dobry, opanowany, dobrego serca, prawdziwy towarzysz niedoli.

W połowie listopada, wraz z grupą 300-400 osobową wyjechałem do Ausenkomando Gross-Koschen. W grupie tej znajdowało się sporo osób z Powstania Warszawskiego, którzy po zakończeniu Powstania kierowani byli do obozów koncentracyjnych. Była również grupa jeńców radzieckich, którzy zamiast do obozów jenieckich, kierowani byli do KC-tów. Załadowano nas wieczorem do krytych wagonów towarowych i następnego dnia ranniem wyładowaliśmy się w nieznanym miejscu w lesie. Ujrzeliśmy ogrodzenie z siatki, stosy desek, cegły i trudne do określenia elementy budowlane. W ciągu dnia zbudowaliśmy z nich duży drewniany barak a w nim piętrowe łóżka na których spędziliśmy pierwszą noc. Ponieważ ziemia była piaszczysta i każdy ruch w baraku powodował kurz, każdego dnia, powracając z pracy, zabieraliśmy po 4 cegły z których układaliśmy podłogę. W dalszej kolejności zbudowaliśmy nieduży barak z przeznaczeniem na rewir /izba chorych/.

Zostaliśmy podzieleni na grupy w zależności od zawodu. W czasie przejazdu na nowe miejsce pobytu zaprzyjaźniłem się ze współwięźniem Polakiem z Zaolzia, któremu w trakcie rozmowy wyjawiałem, że jestem leśnikiem i zawsze otrzymuję najcięższe i najgorsze zajęcia, bo mój zawód w obozie jest nieprzydatny. Mój towarzysz niedoli był człowiekiem dużego serca i bystrego umysłu. Poradził mi żebym zmienił zawód na mechanika i będziemy starać się wejść do jednej grupy. Tak też uczyniłem. Gdy Niemcy dzielili nas na grupy robocze, w zależności od zawodu, wszedłem do grupy mechaników. Jednak los rozdzielił nas, gdyż był on kowalem i wszedł do grupy pracujących w kuźni.

Teraz krótki opis obozu i miejsca pracy - Obóz i miejsce pracy położone były na pagórku wśród suchego sosnowego lasu przy torach kolejowych. Dojście do pracy około 150 metrów. Pociągami dowożono rozbite samoloty zestrzelone w czasie walk, które rozładowywaliśmy na plac między torami. Następnie przystępowali do pracy specjaliści, którzy wykręcali różne liczniki i zegary /nie znam fachowych nazw/ przypuszczalnie nie uszkodzone i składali do skrzyń. Prawdopodobnie po sprawdzeniu ich przydatności były ponownie używane przy montażu samolotów. Następna grupa wymontowywała łożyska kulkowe od drążków sterowych i inne elementy nadające się do regeneracji i ponownego wmontowania, składając oczywiście do skrzyń.

Następna grupa wchodziła z siekierami oddzielając ze skrzydeł, kadłubów i innych części aluminiową blachę od innych metali /kolorowych/. Uzyskany złom składany był na kupy przy torze a po podstawieniu wagonów załadowany i prawdopodobnie przewieziony do hut celem przetopienia. Muszę tu zaznaczyć, że w okresie pracy w Gross Koschen spotkałem tylko jedno skrzydło samolotu włoskiego, wszystkie pozostałe miały hitlerowski "hackenkreuz".

Lagerführerem był młody Niemiec, esesowiec w wieku 35-40 lat. Wartownicy przeważnie z Volkssturmu w mundurach lotników w wieku 30-70 lat. Najgorszym był około 65-letni, chudy spróchniały, wysoki hitlerowiec, który biegał od grupy do grupy i popędzał "loss, loss arbeiten", szczególnie gdy podstawione były wagony do załadunku złomu. Ale i tak odpoczywaliśmy. W połowie lutego 1945 roku zostałem skierowany do rewiru wskutek silnego wyczer-

pania. Leczenie polegało na leżeniu na pryczy i spaniu - sen regenerował siły. Po tygodniu zostałem wypisany - ważyłem 42 kg. Funkcje lekarzy pełnili - Polak po II roku medycyny i Rosjanin po III roku.

Starszym obozu był młody Niemiec. Nie pamiętam, aby znęcał się nad więźniami. Szefem naszej grupy był Pomorzanin, Kapo Max. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że był to człowiek dobry, nikomu krzywdy nie robił. Mówiło się, że ma gruźlicę płuc. Pod koniec pobytu w Gross Koschen zachorował, przebywał do końca na rewirze. W dniu ewakuacji pomógł mu załadować się do wagonu, sam nie miał siły. Do Buchenwaldu nie dojechał. Zmarł w drodze, w otwartym wagonie.

W połowie lutego zaczęły dochodzić nas odgłosy wybuchów pocisków artyleryjskich, być może i bomb lotniczych. Nastrój wśród nas wyraźnie się poprawił - mówiło się "już nie długo". Ale droga do wolności była jeszcze długa i bardzo ciężka i wielu z nas jej nie doczekało.

26 lutego 1945 roku nie wyszliśmy do pracy, a Legerführer zarządził ewakuację obozu. Na torach stały podstawione wagony towarowe odkryte, do których załadowaliśmy się a następnego dnia po południu wyładowano nas w O.K. Buchenwald. Następnie ewakuowano nas 8 kwietnia do O.K. Flossenbürg. Gdy w kwietniu usłyszeliśmy odgłosy wystrzałów armatnich a później karabinów maszynowych zbliżających się wojsk USA, wypędzono na śmiertelny marsz do O.K. Dachau, opisany w książce Henryka Rowińskiego pt. Z działalności P.P.R. w Buchenwaldzie wyd. 1962.

27 kwietnia 1945 r. Obóz Koncentracyjny Dachau został uwolniony przez żołnierzy Armii USA.

W czasie pobytu w podobozie Gross Koschen poznałem współwięźnia, dowiedzionego wraz z wieloma do Gross Rosen po powstaniu warszawskim. Był to Pan w średnim wieku około 50 lat, niski, chyba łysy, pochodził z Włoch k/Warszawy. Jak mi opowiadał był piekarzem, miał własny narożnikowy dom a w podwórzu piekarnię. Zmarł w początkach lutego 1945 r. z wycieńczenia. Zwłoki spalono na miejscu w lesie - jak wielu. Niestety nazwiska nie pamiętam.

Tyle w wielkim skrócie o moich przeżyciach obozowych - bo nie sposób opisać na kilku stronach papieru o pracy w konspiracji, przesłuchaniach w gestapo, o pracy w kamieniołomach, mordczą ewakuację, strzelania do ludzi w czasie ewakuacji.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.15.3.3.

## ARBEITSLAGER GROSS-KOSCHEN I LOS WIĘŹNIÓW TEGO KOMANDA

Podobóz Gross-Koschen położony około 60 km od Drezna powstał w połowie miesiąca października 1944 roku jako filia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Budowa podobozu Gross-Koschen była spowodowana potrzebą utworzenia zakładu demontażu wraków samolotów i tę funkcję przez krótki okres czasu podobóz spełniał. Na bocznicy kolejowej przychodziły transporty wraków samolotów, które po wyładunku rozbijano siekierami, a następnie przenoszono do baraków hal i rozbiierano na najdrobniejsze części. Materiały użyteczne przesortowane wywożono do fabryk lotniczych, natomiast złom wysyłano do hut.

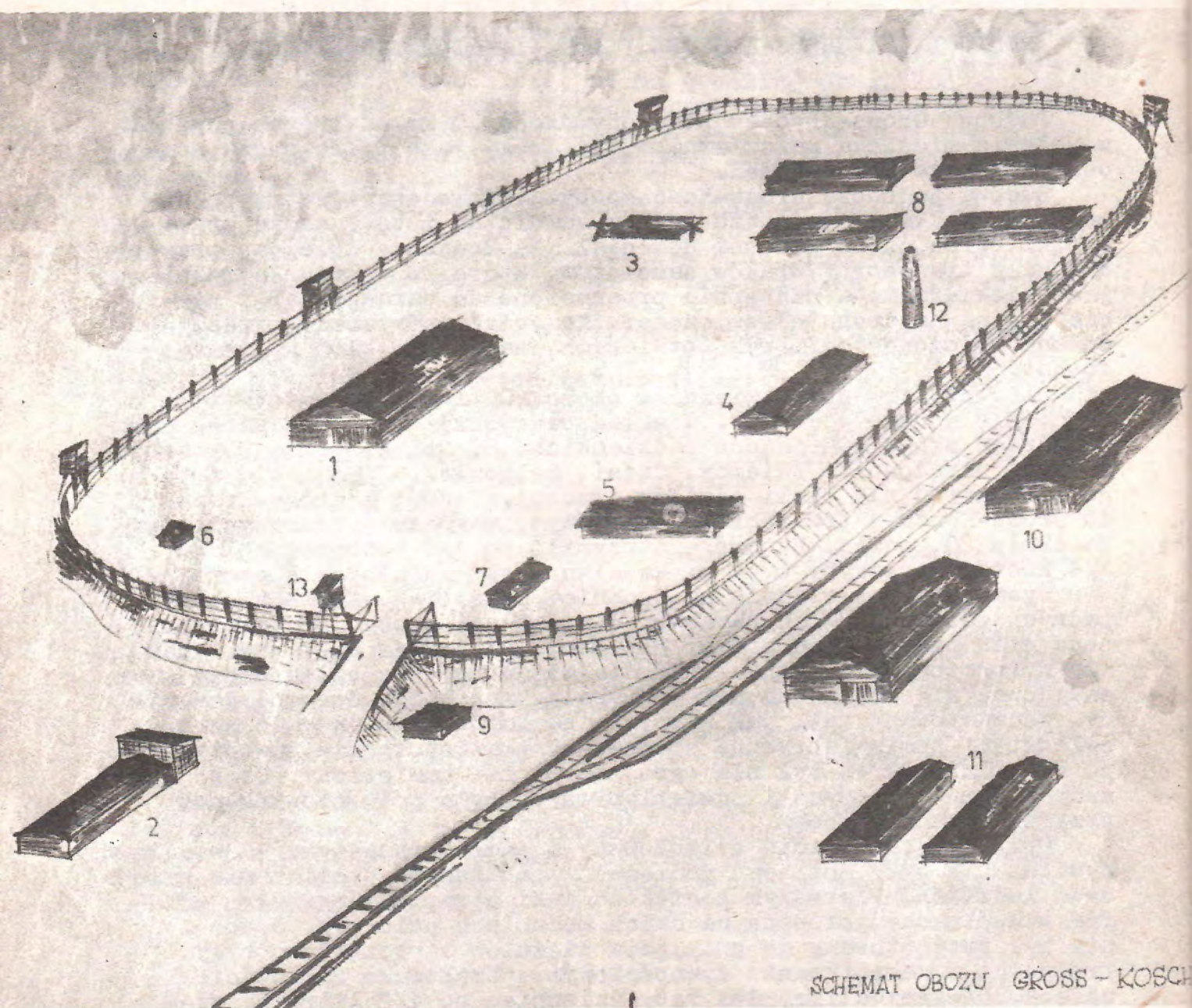
Pierwszy transport więźniów około 200 ludzi zapoczątkował istnienie nowego podobozu. W skład pierwszej grupy więźniów wchodziło około 100 jeńców radzieckich, 80 Polaków oraz 20 osób różnych narodowości /Niemcy, Czesi, Belgowie/. Więźniowie z tego transportu nie mieli odzieży zimowej. Podróż z Gross-Rosen do Gross-Koschen transportem kolejowym, wagonami towarowymi trwała około 20 godzin. Na drogę otrzymali po 1/2 bochenka chleba, 1/4 kostki margaryny oraz po kawałku metki /kiełbasy obozowej/.

Wysadzono nas w lesie na bocznicy kolejowej. Wokół nie było żadnych zabudowań poza barakami dla obsługi obozu, postawionymi poza granicami terenu przyszłego obozu, i jednym dużym barakiem nie wykończonym, przeznaczonym dla więźniów. W pobliżu obozu znajdował się jeden budynek mieszkalny murowany, dwukondygnacyjny, zdewastowany tak, jak gdyby po bombardowaniu, a w dalszej odległości komin fabryczny stanowiący prawdopodobnie pozostałość po cegielni. Teren był nie ogrodzony i nie oświetlony. Część skupów ogrodzeniowych i oświetleniowych była przygotowana pod przyszłe granice obozu.

Obóz był całkowicie odizolowany i żadne kontakty z ludnością cywilną nie były możliwe, ponieważ w pobliskiej okolicy nie było osad ludzkich. Pierwszym posiłkiem jaki otrzymaliśmy były kartofle w łupinach ugotowane na dwóch kuchniach polowych. Podobóz nie był przygotowany do przyjęcia więźniów i początkowo były trudności w zaopatrzeniu żywnościowym - brakowało całkowicie chleba. Otrzymywaliśmy dwa razy dziennie, po 1/2 litra na więźnia "wasser-zupy" w godzinach około 13.00 i 18.00. Po raz pierwszy otrzymaliśmy chleb po 4 dniach. Racja żywnościowa przedstawiała się następująco: rano kawa lub mięta, na obiad 1/2 litra zupy /raz w tygodniu kartofle w łupinach/, na kolację - 1/4 bochenka chleba, kawałek margaryny oraz dodatek np. kawałek metki, łyżka melasy.

Więźniowie podzieleni zostali na 3 grupy robocze i 2 bloki. Jeden zajmowali jeńcy radzieccy, drugi pozostali więźniowie.

Pierwsza grupa miała zadanie uporządkowania terenu obozu, tj. urządzenie baraku mieszkalnego, niwelację zwalów ziemi leżących wewnątrz baraku, ponieważ barak dla więźniów był ustawio-



SCHEMAT OBOZU GROSS - KOSCH

Opracował Andrzej Szokalski. Legenda: 1-barak mieszkalny (800 osób), 2-Kuchnia z zapleczem i magazynami, 3-latryna polowa, 4-barak mieszkalny (150 osób i rewir), 5-barak mieszkalny dla funkcyjnych i magazyn odzieżowy, 6-barak dla Lagerführera, 7-wiata, umywalnia, 8-baraki mieszkalne (po 250 osób), 9-chlewnia, 10-baraki na demontaż samolotów, 11-baraki dla żołnierzy Luftwaffe, 12-komin fabryczny, 13-wieża wartownicza.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.15.1.4.

ny na gołej ziemi, zmontowanie 3-piętrowych drewnianych łóżek itp. Do zadań tej grupy należała następnie niwelacja całego terenu, budowa ogrodzenia i instalacja oświetlenia.

Grupa druga zajęta była przy budowie baraków, które powstawały w następującej kolejności: barak-magazyn żywnościowy i kuchnia, barak dla więźniów funkcyjnych, barak-rewir, baraczkabudka dla lagerführera, prowizoryczna szopa-umywalnia oraz dalsze baraki mieszkalne i baraki-hale zlokalizowane poza terenem obozu, przeznaczone do robót demontażowych przy rozbijanych uprzednio na zewnątrz wrakach samolotów.

Trzecia grupa zajmowała się transportem z bocznic kolejowej części baraków oraz materiałów budowlanych oraz budową drugiej bocznic kolejowej.

Ochronę obozu stanowili żołnierze Luftwaffe, którzy jednocześnie nadzorowali wykonanie pracy. Nad całością sprawował władzę kapitan Luftwaffe, inżynier, którego widzieliśmy zaledwie trzy razy. Lagerführerem był SS-man w wieku około 35 lat w stopniu sierżanta. Był on usposobienia łagodnego i w stosunku do więźniów ludzki, nie bił i nie karał więźniów. Czynności te spełniali gorliwi oprawcy, więźniowie funkcyjni. Nadchodziła późna zima jesień, a więźniowie, poza obszarpanymi łachmanami, nie mieli swetrów ani palt ani nawet szmat na onuce.

W końcu listopada przywieziono transport więźniów z obozu Auschwitz-Birkenau liczący 800 ludzi, na czele których stał Obercapo, człowiek w wieku około 30 lat, całkowicie łysy. W transporcie tym znajdowali się więźniowie z komanda "Zerlegetreibe", zatrudnieni przy pracach demontażowych wraków samolotów, co było przyczyną utworzenia obozu Gross-Koschen. Większość przywiezionych więźniów, niemal 90%, stanowili Polacy.

Od tej pory warunki w obozie nieco poprawiły się, ponieważ przybyły transport był dość dobrze wyposażony w odzież i żywność. Ponadto w tym czasie wprowadzono dodatkowe wyżywienie z "zulagą" dla pracujących, którą stanowiła kromka bochenka chleba z niewielkim dodatkiem margaryny. Więźniowie zatrudnieni na terenie obozu, w kuchni oraz przebywający na rewirze /szpital więzienny/ dodatku żywnościowego nie otrzymywali. Więźniowie z pierwszego transportu z uwagi na brak odzieży zimowej zatrudniani byli wyłącznie na terenie obozu.

Około 15 grudnia przyszedł transport odzieży-łachmanów /palt/ i wówczas wszyscy więźniowie traktowani zostali jednakowo przy ich rozdziale. Powiększenie liczebne obozu spowodowało reorganizację, polegającą na podziale więźniów na 5 bloków i następujące komanda pracy: kuchnia wraz z pełną obsługą, gospodarcze, obozowo-porządkowe, budowlane, rozładunku i transportu, pracy przy demontażu wraków samolotów.

Poszczególne funkcje w obozie pełnili: Lagerältester - Austriak w wieku około 27 lat, były blokowy z Gross-Rosen z bloku 10. Pierwotnie były 2 bloki. W jednym dla jeńców radzieckich-blokowym był lejtnant imieniem Sasza, i na drugim bloku dla pozostałej grupy - Polak z Poznania. Po przybyciu następnych transportów blokowymi byli Polacy, jeden Chorwat, jeden Niemiec. Blokowym mego bloku był Bolek z Warszawy, zam. przy ul. Miedzianej, natomiast sztubowym - Eugeniusz Janowski również z Warszawy. Przybyli oni z Auschwitz. Kapami w pierwszym etapie byli: robót budowlanych Polak z Poznania i pozostałych robót Ukraińiec. Po zwiększeniu liczebności obozu funkcję oberkapo sprawował

więzień z Auschwitz oraz kapowie różnych narodowości, między innymi Polak o nazwisku Mizera, prawdopodobnie z Poznania. W kuchni "rządzili" Polacy z Warszawy: Bolek i Felek, /bardzo niedostępni i nieprzyjemni ludzie/ oraz Belg odwołany po miesiącu pobytu do Gross-Rosen. Lekarzem był Rosjanin z Władywostoku, również odwołany po miesiącu do Gross-Rosen. Na jego miejsce przybył z Gross-Rosen lekarz Polak z Poznania. Sanitariuszami byli: Rosjanin nazwiskiem Osipow, który następnie jako chory pozostał na rewirze do likwidacji obozu oraz Geniek, Polak, odwołany w końcu listopada do Gross-Rosen. Odwołanie miało prawdopodobnie na celu odczytanie wyroków śmierci. Na miejsce sanitariusza Geńka wyznaczono warszawiaka przybyłego z Auschwitz o tym samym imieniu. Lagerlaufrem był młody czech około 20 lat a następnie młody Polak lat 15 - 16 przybyły również z Auschwitz.

W nocy z 31 grudnia 1944 na 1 stycznia 1945 roku przybył następny transport z Auschwitz, w liczbie około 1000 więźniów różnych narodowości. W większości byli to Chorwaci, Serbowie, Słowacy, Francuzi oraz kilku Greków. Wszyscy zatrudnieni zostali przy demontażu samolotów. Po przybyciu tego transportu obóz zagęścił się ponad miarę, ponieważ nie był przygotowany na pomieszczenie 2000 ludzi przy stosunkowo małej powierzchni mieszkalnej, jak również braku zaplecza żywnościowego.

W obozie były bardzo prymitywne warunki życia, przede wszystkim dotkliwy brak wody, urządzeń sanitarnych, łaźni, ustępów. Więźniowie nie mieli możliwości mycia się. Przeznaczona na umywalnie szopa-wiata o wymiarach 3.0 x 2.0 m z dwoma rurami doprowadzającymi wodę, nie zdawała egzaminu gdyż w czasie mrozów całkowicie zamarzała i więźniowie nie mogli z niej korzystać. Zamiast sanitariatu zbudowano zwykłą latrynę na wolnym powietrzu, a okres przecież był jesienno-zimowy. Ogólnie panująca wszawica, nie do opanowania, powodowała rozszerzanie się chorób zakaźnych, a niewłaściwe wyżywienie i jego niedostatek - ogólną biegunkę. Łiche ubranie, prace na wolnym powietrzu i w nie ogrzewanych barakach wywoływały grypę i zapalenie płuc. Rozwijała się także gruźlica. Brud i wszy sprzyjały rozwijaniu się świerzbu. Pomimo panujących chorób więźniowie zmuszani byli do pracy. Pomieszczenie dla chorych zwane rewirem mogło przyjąć zaledwie 50 więźniów było zawsze przepełnione. Pomoc lekarska świadczona przez - jednego lekarza i jednego niewyszkolonego sanitariusza - w prymitywnych warunkach, przy braku podstawowych leków nie dawała w zasadzie żadnych efektów. Niedostatek wyżywienia powodował wzrost liczby tzw. "muzułmanów". Krótkotrwałe istnienie obozu Gross-Koschen w ciągu zaledwie 3,5 miesiąca, spowodowało śmierć około 50 więźniów. Lecz w czasie ewakuacji zginęło łącznie około 70% całego stanu. Zwłoki więźniów spalano w palenisku stanowiącym pozostałość po cegielni wraz z kominem fabrycznym na terenie obozu.

Ucieczki z obozu były dwie, obie nieudane. W ciągu doby uciekinierzy zostali schwytani, przyprowadzeni do obozu a następnie odesłani do Gross-Rosen. Uciekinierami byli Cygan /jeden z nich na terenie całego obozu/ oraz Polak z Poznania.

Tylko jeden raz więźniowie dostali zezwolenie na wysłanie listów. Według ustalonego tekstu mogli napisać tylko ci, których rodziny zamieszkiwały na terenie Rzeszy i posiadały takie samo jak oni nazwisko. Część listów dotarła do adresatów, czego dowodem było nadejście paczek żywnościowych. Z reguły więźniów otrzymywał

z paczki niewielką częśćką, czasami jedynie kawałek chleba, gdyż resztę rekwirowano i dzielono między załogę obozu i funkcyjnych. W pierwszych dniach stycznia 1945 roku codziennie około południa miały miejsce alarmy lotnicze w czasie których opuszczaliśmy miejsca pracy. Słychać było wówczas syreny z odległych miejscowości. Sam obóz i okolice bombardowania nie przechodziły i samolotów więźniowie nie widzieli.

Likwidacja obozu nastąpiła w kilku rzutach. Pierwszy, w którym byłem i ja miał miejsce około 6 - 10 lutego. Wagonami towarowymi po 80 do 100 osób w wagonie przetransportowano do Buchenwaldu około 800 ludzi, z czego zaledwie połowa dojechała na miejsce żywa. Wielu zmarło w Buchenwaldzie, czekając całą noc na mrozie na otwarcie łaźni. Drugi transport około 600 ludzi przybył do Buchenwaldu w 10 dni później. Spotkałem więźniów drugiego transportu na terenie obozu. Lageraltester z Gross-Koschen został zlinczowany przed łaźnią w Buchenwaldzie przez więźniów. Blokowych zaś pobito - widziałem ich pobandażowanych. Podobno pozostałą grupę więźniów w obozie Gross-Koschen ewakuowano do obozu Dachau.

Moja grupa ewakuowana do Buchenwaldu to ludzie najbardziej wycieńczeni, tzw. "muzułmani". Ewakuacja odbyła się wagonami towarowymi zakrytymi i częściowo odkrytymi, zadrutowanymi drutem kolczastym od góry. Do wagonu ładowano od 80 do 100 osób, tak że ścisk był ogromny. Na drogę otrzymaliśmy po pół bochenka chleba. Transport nasz jechał 3 może 4 dni. Dwa razy dano nam wodę z parowozu. Śmiertelność była olbrzymia, przypuszczam, że połowa transportu żywych ludzi dotarła do Buchenwaldu. W transporcie tym nie było ani jednego więźnia sprawującego funkcję w obozie. Na bocznice obozu Buchenwald wjechaliśmy w nocy, skąd SS-mani krzykami i biciem zapędzili nas na ogromny plac przed łaźnią, gdzie czekaliśmy do rana, dopóki obóz nie zaczął funkcjonować. Kilku dziesięciu więźniów zmarło na placu. Po normalnych czynnościach tj. odwszeniu, kąpieli, dezynfekcji, goleniu, wydano nam nowe numery oraz letnią odzież /kachmany/. Ja otrzymałem numer 132287. Przydzielono nas do bloków w "małym obozie". Ja trafiłem do bloku 54, skąd brano więźniów na roboty obozowe, względnie wywożono do prac porządkowych w Weimarze. Po dwóch tygodniach udało mi się dostać do bloku 62 inwalidzki, skąd nie brano więźniów do robót i można było całą dobę leżeć na pryczach /gołych deskach w kojach po 10 więźniów/. W bloku 62 było bardzo dużo Żydów pochodzenia węgierskiego oraz niewielkie grupy więźniów różnych narodowości, łącznie około 200 więźniów. Blok ten nie brał udziału w apelach. Racja żywnościowa w "małym obozie" wynosiła pół litra zupy oraz kawałek chleba dziennie, a w miesiącu kwietniu tylko zupę bez żadnych dodatków. Raz jedyny około Świąt Wielkanocnych otrzymaliśmy paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, jedna paczka na sześciu więźniów. Paczek nie otrzymywali więźniowie narodowości żydowskiej oraz więźniowie bloków nieuprzywilejowanych, to jest takich, z których pędzono więźniów na roboty.

W dniu 8 lub 9 kwietnia wywieszono w obozie białe flagi. Znaczyło to, że obóz poddaje się. Wśród więźniów zapanowała wielka radość. Z daleka dochodziły echa strzałów, front się zbliżał. Następnego dnia flagi zostały zdjęte, wyrzucono nas z bloku i posegregowano na więźniów narodowości żydowskiej i pozostałych. Więźniów narodowości żydowskiej po oddzieleniu odprowadzono nie wiem dokąd ale prawdopodobnie na zagładę. Pozostałych więźniów

wyrzucono poza bramy obozu do dalszej ewakuacji. Ja się schowałem, lecz po kilku godzinach wyszedłem z kryjówki w baraku na teren dużego obozu. Nie było absolutnie nikogo, zacząłem chodzić po barakach i szukać pożywienia. Obsługa SS obozu jednak wróciła i jeszcze raz "przeczesała" obóz. Zostałem wyrzucony za bramę obozu, gdzie było jeszcze kilku więźniów i SS-manów i biegiem pognano nas do Weimaru /około 7 km/. Jednak mieliśmy szczęście że droga z obozu do Weimaru prowadziła z górki, dzięki czemu daliśmy radę pokonać tę odległość, choć w stanie absolutnego wyczerpania.

W Weimarze dołączono ostatnią grupę 5 więźniów do stojącego na stacji kolejowej transportu z więźniami. Transport liczył około 2000 więźniów po 80 - 100 w każdym wagonie towarowym. Na drogę nie dostaliśmy żadnej żywności. Po 16 godzinach jazdy dojechaliśmy do stacji kolejowej Zeichen. Tu zastał nas alarm lotniczy, nalot samolotów alianckich i bombardowanie. Była to godzina 14.00 dnia 10 - 11 kwietnia 1945 roku. Transport został zbombardowany, rozbiliśmy wagony i pomimo silnego bombardowania i ostrzeliwania z karabinów pokładowych rzuciliśmy się na wagon z chlebem gdyż głód był silniejszy od strachu, a następnie kto zdobył chleb, uciekał do pobliskiego lasu tuż przy stacji kolejowej. Transport ucierpiał bardzo, około 80% więźniów zostało zabitych, względnie ciężko rannych. Również z eskorty SS zostało dużo zabitych i rannych.

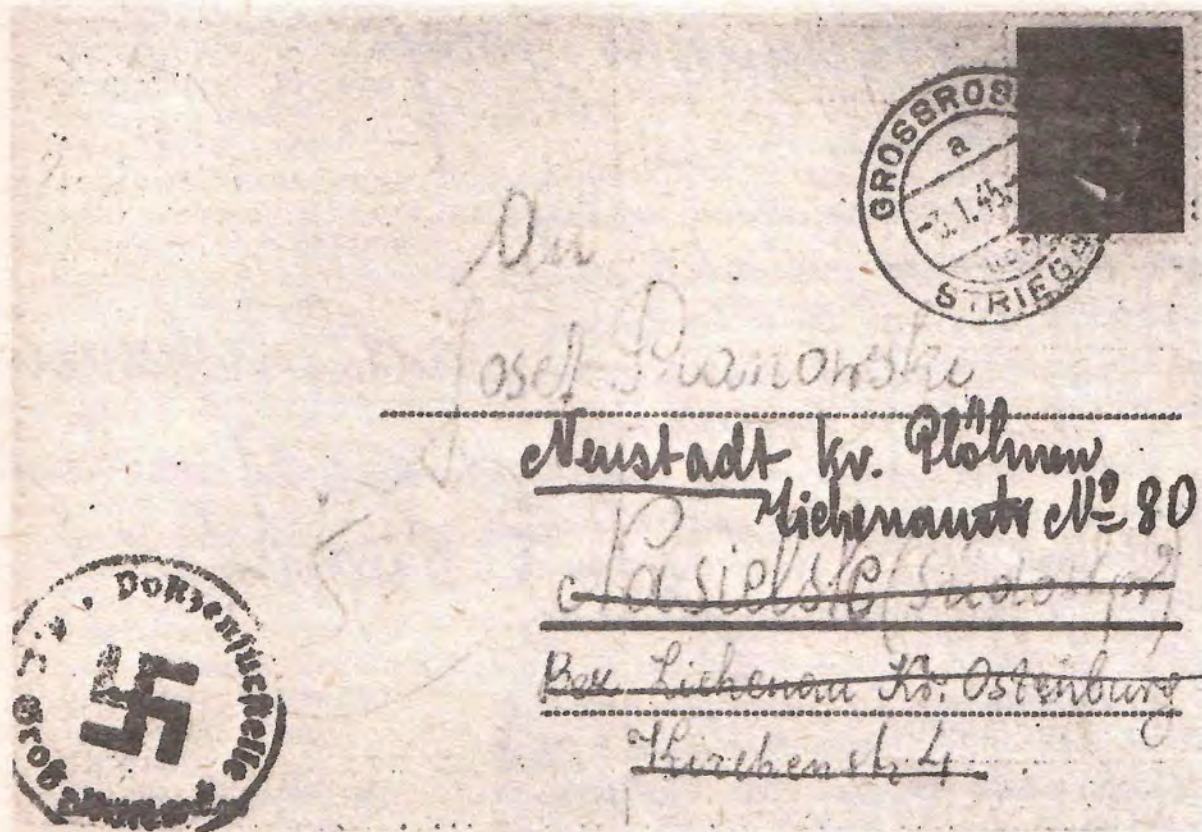
Po około 8 godzinach transport pozbierano. Uciekać nie było gdzie, bez rozeznania, z czerwonymi krzyżami na plecach, w łachmanach i bez pożywienia. Ustawiono nowy skład pociągu, załadowano więźniów i transport ruszył dalej. Dnia następnego przyjechaliśmy około godziny 16.00 do stacji Tachau w Bawarii. Tu wysiedliśmy i ustawieni w kolumny piątkami ruszyliśmy pieszo przez miasteczko. Na noc zatrzymaliśmy się za miastem, pod gołym niebem na śniegu, obok zagrody dla bydła w dużym gospodarstwie rolnym. Tam też dowieziono ciężarówkami więźniów, którzy nie mieli sił iść pieszo. Rano ustawiono nas znów w szeregi piątkami do dalszego marszu. Kto z więźniów nie mógł podnieść się o własnych siłach tego SS-mani zabijali strzałem w tył głowy. Była to największa zbrodnia, jaką naocznie widziałem. Ustawione kolumny do marszu liczyły już tylko około 800 więźniów. Dano nam po kawałku chleba po raz pierwszy od kilku dni i transport ruszył w dalszą drogę.

Do obozu we Flossenburgu pozostało 20 - 25 km. Maszerowaliśmy cały czas wyłącznie przez lasy. Kto z więźniów pozostawał w tyle lub nie mógł iść, był natychmiast zabijany strzałem z pistoletu w tył głowy. Droga Tachau - Flossenburg to była droga śmierci, usłana od początku do końca trupami więźniów. Na miejsce późnym wieczorem dotarło nas do obozu Flossenburg około 400. Umieszczono nas w olbrzymiej hali poza terenem obozu, gdzie byli już więźniowie, którzy przybyli również tę samą trasę. Na drugi dzień rano dano nam pierwszy posiłek, pół litra zupy i to była racja dzienna wyżywienia we Flossenburgu. W hali tej spędziliśmy dwie doby. Bez kąpieli, odwszenia i zmiany łachmanów rozdzielono nas na bloki w głównym obozie Flossenburg. Objęty zostałem numeracją i nie pamiętam już, jaki numer dostałem. W obozie panował ogólny bałagan, wszyscy ludzie byli zdezorientowani, nie było apelów, liczenia więźniów, nie było w końcu żadnych posiłków.

W dniu 20 kwietnia w obozie wywieszono białe flagi, ale mimo tego w dniu 21 kwietnia obóz ewakuowano. Zebrano wszystkich więźniów na głównym placu apelowym i po ustawieniu w kolumny

i szeregi oraz przydzieleniu po dwie garści żyta na osobę, transport ruszył w drogę do Mauthausen. Ja osobiście ociągałem się z opuszczeniem obozu, pozostało już tylko kilka osób, które nie mogły podnieść się o własnych siłach. Między tymi więźniami znajdował się znany mi osobiście z Włoch Jerzy Janc, syn właściciela mydlarni z Włoch, na rogu ul. Sieradzkiej i Piłsudskiego, chłopiec w wieku około 17 lat, całkowicie wyczerpany. Ostatnich dwóch SS-manów wypędziło nas 5 więźniów za bramę. Czterech dogoniło transport, ja po przejściu około 800 m zobaczyłem, że wkoło mnie nie ma nikogo i uciekłem do lasu. Dnia następnego powróciłem na teren obozu. Było to 22 kwietnia. W obozowym szpitalu było około 80 więźniów, a wśród nich 5 sprawnych, pełnych sił. Przyjęto mnie do tego grona. Zacząłem szukać Jurka Janca, który pozostał na placu apelowym. Nie mogłem znaleźć go wśród więźniów, aż natrafiłem na jego zwłoki w ubikacji baraku szpitalnego - zmarł tego dnia. W dniu 23 kwietnia 1945 roku czołgi armii amerykańskiej wjechały na teren obozu - byliśmy wolni!

Nr archiwum Gross-Rosen 3.15.3.2.



List pisany przez Seweryna Pianowskiego z Gross-Koschen w końcu grudnia 1944 roku. Listy jednak przechodziły przez cenzurę obozu Gross-Rosen, co przedłużało cykl korespondencyjny.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.74

Abfender: *Sianowski Hejdzik Wacław*  
*Przemysł wie chłintel 35a*  
*Post Grube clarga*

Gummierung hier lösen  
 mit Bleistift aufrollen

*Kr. Hoyerwerda OK*

Gummierung hier lösen  
 mit Bleistift aufrollen

*An Herrn*

*Sianowski Józef*



*Si ano rmi Panchoo ... i ha*  
*my fry padko to praujemy u karmym*  
*lagne wijstowym jako cyntle i duri*  
*bardzo dno chwieia tym biedakom*  
*listow nym nym. faks samo i warowa*  
*synowi ter. jako ja opay ertowick*  
*ale die mane moimse. to pomagajid.*  
*noemu synowi to w tym lagne to dnie*  
*nie uklamyja jak 5-6 mies. bez pomocy*  
*ja wiem ze jest cieta. Bo jestoie przy*  
*wanym frolnie. Bo i moja zona ter*  
*jest na cietywie 8 kilometrow od was*  
*waszemu ze. Boganki cieta. a pier*  
*zej chodliński cieta. Gub cietyw*  
*cyreli byjeie mogli kossie Panchoo*  
*Zaczajomcie xmoji zone. Wladys*  
*Lewichem i Wladys*

*a dt. Zichenau*  
*80 b. c. m. d. Pasik*  
*S. id. Ost. pr.*

Pan Wacław Hejdzik pracował na terenie obozu Gross-Koschen jako pracownik cywilny. Pomagał więźniom wysyłając grypsy - wiele ryzykując. Pomagał Sewerynowi Pianowskiemu. Fotokopia listu do Józefa Pianowskiego (ojca Seweryna) Nr arch. 3.15.1.2.

## Z KOMANDA BAUTZEN DO WOLNOŚCI

Urodziłem się w 1943 roku na wsi w województwie Nowosądeckim, gdzie też zastała mnie wojna. W dniu 24 czerwca 1943 roku zostałem pod zarzutem działalności konspiracyjnej aresztowany i przewieziony do Nowego Sącza. Po miesięcznym pobycie na Gestapo przetransportowano mnie do obozu w Szebni koło Jasła, skąd w październiku 1943 r. udało mi się zbiec. Po powrocie w rodzinne strony w dniu 7 sierpnia 1944 roku zostałem ujęty i wraz z kolegą Stanisławem Wachałą, zostaliśmy osadzeni w więzieniu w Nowym Sączu. Po bestialskich przesłuchaniach osadzono nas w więzieniu Montelupich, w Krakowie, poczem w listopadzie wywieziono nas transportem do Gross-Rosen, gdzie otrzymałem numer 87480.

W Gross-Rosen przebywałem na bloku 19. Warunki w tym bloku były makabryczne. Po dziesięciu dniach przeniesiony zostałem na blok 10. Przydzielono mnie do kolumny, która nosiła kamienie z kamieniołomów do budowanego obozu, zwanego "oświęcimskim". Praca ta, przy głodowych racjach żywnościowych, wyniszczała nasze siły i z każdym dniem przybywało "muzułmanów" oraz wzrastała śmiertelność z wycieńczenia więźniów. W takich warunkach przeżyłem dwa miesiące.

W dniu 25 stycznia 1945 roku, wieczorem po kolacji sztabowy wyczytał mój numer i po ostrzyżeniu głowy i wygoleniu paska włosów przez blokowego fryzjera, zaprowadzono mnie przed "schreibstube". Tam już stało 9 więźniów, ja byłem dziesiąty.

Sprawdzono nasze numery i poprowadzono pod bramę główną, a następnie pod eskortą 6 esesmanów do stacji kolejowej.

W pociągu jechaliśmy do Legnicy, później przesiadka do innego pociągu i następnego dnia o godzinie 5 rano byliśmy w Bautzen.

W obozie tym będącym filią obozu Gross-Rosen, rano dowiedzieliśmy się od współwięźniów, że pracują oni w fabryce wagonów. Spotkałem wśród nich kolegę z więzienia na Montelupich w Krakowie, Antoniego Wardzałę z Tarnowa. On poradził mi abym się zgłosił jako "Zatler", gdy będą pytali o zawody. I tak się stało. Po rannym apelu dla nas 10-ciu pierwszym w tym obozie, wszyscy więźniowie poszli do pracy, a do naszej grupy podszedł cywil w towarzystwie komendanta obozu i wypytywał o zawody. Zgłosiłem swój zawód podany przez Wardzałę choć nie miałem pojęcia co znaczy wyraz "Zatler".

Mnie pierwszego zabrano i poprowadzono do fabryki. Jak się okazało kazano mi przybijać papę na dachach wagonów.

Budynki fabryczne przylegały do naszego obozu. Stan więźniów wynosił około 500 osób. Funkcję Lagerältestera pełnił Czech Novak. Blokowym był Kujawa. Nisko kaloryczne racje żywnościowe doprowadzały więźniów do skrajnego wyczerpania fizycznego i psychicznego. Na rannym apelu coraz częściej układaliśmy zwłoki zmarłych w nocy obok stojących w celu obliczenia stanu więźniów. Zmarłych układano później w skrzyni, a gdy się zapełniła odwożono samochodem do spalania w krematorium Gross-Rosen. Na ich miejsce przywożono więźniów następnym transportem uzupełniając stan.

Na początku marca 1945 roku przeniesiono nas do kopania okopów wokół miasta Bautzen. Do pracy chodziliśmy w kolumnach 50-cio osobowych. Gdy fabryka przestała pracować z powodu braku dostaw materiałów, jedzenie jeszcze bardziej się pogorszyło. Powracając z pracy

przy kopaniu okopów musieliśmy nieść tych którzy zmarli przy pracy i podtrzymać osłabionych. Około 15 kwietnia przyszedł do nas transport żydowski. Więźniów tych ewakuowano podobno z Buchenwaldu. Nie mieli oni na głowach wygolonych pasków. W woreczkach uszytych z ręczników mieli palone ziarno i tym się odżywiali. W takich warunkach, w stanie skrajnego wyczerpania organizmów, spadła na nas wieść o ewakuacji komanda. Około dwudziestego kwietnia 1945 roku, zarządzono apel, w czasie którego uformowano nas w grupy po 25-ciu więźniów. Do każdej grupy dołączono jeden wóz wojskowej trakcji konnej, na którym znajdowały się: zapasy żywności, dokumentacja obozowa oraz różne przedmioty, niezbędne w czasie ewakuacji. W zapadających ciemnościach ruszyliśmy w kierunku Drezna, ciągnąc za sobą ciężkie wozy. Wszystko to odbywało się w atmosferze ciągłego ponagrania i bicia, a dodatkowym utrudnieniem było to, że znajdowaliśmy się w terenie górzystym. Od strony Bautzen słychać było odgłosy wybuchu bomb lotniczych, salwy artyleryjskie i broni maszynowej. Wolność wydawała się blisko, a my posuwaliśmy się naprzód.

W czasie marszu, zarządzano, wprawdzie, krótkie chwile wypoczynku, jednak tempo naszego marszu, było coraz wolniejsze. Na jednym z postojów stwierdzono kradzież chleba z plecaka powieszonego przez konwojenta na klonicy wozu. Żołnierz o kradzieży zameldował komendantowi. Wśród nas powiało grozą i nieobliczalnymi skutkami. Wyratował nas z tej opresji Lagerältester Novak, który zwrócił się do Lagerführera z prośbą, żeby skradziony chleb wydać poszkodowanemu konwojentowi z porcji przeznaczonych dla więźniów. Szczęściem dla nas że komendant obozu zgodził się na tą propozycję i po krótkim odpoczynku wyruszyliśmy dalej w drogę. Słabsi więźniowie nie wytrzymywali tego morderczego marszu, padając na ziemię z wyczerpania. Szliśmy całą noc. Dopiero następnego dnia, pod wieczór, kolumna nasza dotarła do jakiejś wioski, gdzie zarządzono nocleg. Rano ruszyliśmy w dalszą drogę pchając przed sobą ciężkie wozy. Pod koniec tego dnia dogonił nas motocykl z SS-manami, którzy rozkazali nam się zatrzymać. Stanęliśmy na poboczu drogi, obok swoich wozów a SS-mani zabierając ze sobą Lagerführera wrócili do miasteczka, obok którego przechodziliśmy. Po kilku godzinach wrócił Lagerführer i zarządził powrót do miasteczka, w którym znajdował się, opuszczony już, obóz cywilnych, obcokrajowych pracowników. Po rozłokowaniu nas w tym obozie, następnego dnia rano, popędzono nas do budowy barykad na szosie. Przy budowie tych barykad pracowaliśmy aż do dnia kapitulacji Niemiec.

W nocy z dnia ósmego na dziewiątego maja 1945 roku, zostaliśmy poinformowani że wojna się skończyła, lecz dla własnego bezpieczeństwa nie wolno się oddalać od obozu, a ochronę nad nami przejmie Volkssturm. Powiedziano nam także, że SS-mani uchodząc zabrali całą dokumentację dotyczącą więźniów. Mimo zakończenia wojny byliśmy w dalszym ciągu pilnowani i nikomu, mimo powtarzanych wciąż prób, nie udało się wydostać z obozu. Sytuacja nasza wprawdzie się znacznie poprawiła, gdyż nie musieliśmy już pracować oraz dostaliśmy zwiększone nieco racje żywnościowe, lecz świadomość, że mimo ukończenia wojny, jesteśmy w dalszym ciągu więźniami, doprowadzała nas do rozpacz. W dalszym ciągu byliśmy niepewni, dalszego naszego losu. W dniu dziewiątego maja zarządzono zbiórkę, przed bramą obozu i Oświadczone nam, że opuszczamy nasz obóz. Po uformowaniu nas w szeregi, pod strażą Volkssturmu, na szczęście bez wozów, ruszyliśmy w kierunku południowym. W czasie marszu spotykaliśmy się na drodze z licznymi grupami ludności cywilnej, która wybiegła na ulicę. Niektórzy z cywilów podawali nam pożywienie a z wielu ust słyszało się słowa współczucia. Ochrona nasza prawie nie reagowała, tylko zachęcano nas do szybszego marszu. W czasie marszu spotykaliśmy na swej

drodze wiele porzuconych przez uciekającą ludność, przedmiotów, wśród których znajdowaliśmy również resztki jedzenia. W miarę marszu narastał niepokój o dalszy nasz los, gdyż zdawaliśmy sobie sprawę z nienormalnej sytuacji, bo mimo zakończenia wojny, jesteśmy w dalszym ciągu konwojowani. Szliśmy szosą, która prowadziła w kierunku znajdującego się w oddaleniu lasu i w miarę zbliżania się do niego ogarniały nas coraz czarniejsze myśli.

Postanowiłem, że gdy wejdziemy do lasu, będę próbował ucieczki. Po wejściu do lasu nawiązałem kontakt z idącymi obok mnie dwoma kolegami, którzy również zamierzali zbiec. Po pewnym czasie skorzystaliśmy z chwilowej nieuwagi straży i skoczyliśmy we trzech /2 Polaków i 1 Rosjanin/ z kolumny w las, gdzie gęste zarośla skryły nas przed strażnikami. Kolumna oddalała się od nas, a my usiedliśmy w gęstym zagałniku i zaczęliśmy zastanawiać się co począć dalej. Od wschodu dochodziły do nas odgłosy armatnie i warkot maszynowej broni. Słuchając tych odgłosów byliśmy przekonani, że wojna jeszcze trwa, postanowiliśmy więc kierować się w stronę linii frontu, i przedostać się na drugą stronę. Wyruszyliśmy więc starając się omijać główne drogi. W pewnym miejscu, gdy przekroczyć musieliśmy szosę, dobiegł nas okrzyk "halt". Rzuciliśmy się naprzód w największą gęstwinę, a liście nad nami posiekła seria karabinu maszynowego. Udało nam się jednak uciec, gdyż las był bardzo gęsty, a napastnik mimo posiadanej broni, nie odważył się za nami biec. W lesie tym rosjanin i ja przenocowaliśmy, gdyż w ucieczce straciliśmy kontakt z drugim polakiem. Rano dziesiątego maja głód zmusił nas do rozpoczęcia poszukiwań żywności. Wyszliśmy więc z lasu i ujrzelśmy w oddali duże zabudowania jakiegoś gospodarstwa rolnego. Po wejściu na podwórze ujrzelśmy starszego mężczyznę. Zbliżyliśmy się więc do niego prosząc o coś do jedzenia. Wyniesiono nam z izby miskę kartofli w łupinach, na które rzuciliśmy się zgłodniałymi. W czasie tego posiłku na podwórze wbiegło dwóch polskich żołnierzy, którzy z okrzykiem "ręce do góry" zbliżyli się do nas. Po wyjaśnieniu kim jesteśmy, oznajmili nam, że są żołnierzami Drugiej Armii Wojska Polskiego. W taki więc sposób odzyskaliśmy wolność, wyzwoleni przez Wojsko Polskie. W gospodarstwie tym przebywaliśmy jeszcze dwa tygodnie regenerując nasze siły. Po dwóch tygodniach rozpocząłem wędrówkę do Polski samotnie, gdyż radziecki kolega został przyjęty przez spotkane oddziały radzieckie.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.22.3.4.



Rysunkowy szkic głowy więźnia Władysława Jurkowskiego, przebywającego prawdopodobnie na rewirze w komando Bautzen. Rysunek wykonał dr Kornel Gibiński - lekarz rewiru 12 grudnia 1944 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.22.1.3.

## FRAGMENTY WSPOMNIEŃ LEKARZA Z REWIRU KOMANDA BAUTZEN

Studia lekarskie ukończyłem na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie wpajano nam usilnie zasady etyki lekarskiej. W głębokim przekonaniu o wysokości posłannictwa lekarskiego, pełniłem później swój zawód i z tym przekonaniem dostałem się później do obozu. I tu robiłem rzeczy, których wstydzilibym się przed obozem, a o które nie posądzałbym się nigdy, a dzisiaj wyznaję to bez wstydu; innego wyjścia wtedy nie widziałem.

Wspomnienia moje dotyczą KL Gross-Rosen, gdzie przebywałem kilka miesięcy na rewirze III A, a następnie na "komandzie" w AL. Bautzen /Budziszyn/, jako Sch-Hftl. P-7899. Sanitätsdienstgehilfe obozu w Budziszynie /bezpośrednia moja władza/ był SS-Uscha, Wilhelm Bahr, kołodziej z prowincji Szlezwig-Holsztyn, lat około 45.

Zgrozą napełniało mnie odnoszenie się funkcyjnych do innych więźniów, nieraz wprost torturowanie, jakie zobaczyłem po raz pierwszy na rewirach - zupełnie tak samo, jak na innych blokach. Ale na rewirze było to szczególnie przejmujące. I nie upłynął rok, a sam wybiłem zęby jakiemuś włochovi za kradzież jedzenia ciężko choremu sąsiadowi, który nie mógł się bronić. Karałem za brud, gdyż można było zachować czystość, za zawsznienie, gdy nie można było go uniknąć. Woląłem to, niż meldowanie SDG, a porządek w rozprzęgającym się rewirze musiał być utrzymany w naszym wspólnym interesie. Z dwójga złego wybierałem mniejsze, choć wiedziałem, że to też jest złem, że winowajcy też byli głodni, zmęczeni pracą, z głupoty lub będąc na dnie depresji nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nieraz z lękiem myślałem, jakbym postępował, gdybym w obozie przebył nie rok, a pięć, osiem, dziesięć lat, bo byli i tacy.

Nie zapomnę chwili, kiedy SDG Bahr po raz pierwszy kazał mi napełnić niegotowaną strzykawkę 20 ccm roztworem nadmanganianu potasu, przynieść jednego z chorych, sowieckiego porucznika broni pancernej Wasyla Jemeca na pustą izbę i ze strzykawką podszedł do niego. Środek oczywiście nie działał tak, jak on to sobie wyobrażał, więc wracał jeszcze parokrotnie do ambulatorium napełniać strzykawkę. Ponieważ po paru godzinach ofiara jeszcze żyła, kazał sobie podać czterochlorek węgla. Wreszcie po paru wstrzyknięciach tego środka w jakieś pół godziny Jemec zmarł wśród objawów obrzęku płuc. SDG wyszedł i kazał mi napisać "Totenschein" z rozpoznaniem: Versagen von Herz und Kreislaufschwäche bei Nierenentzündung.

Od tego czasu wstrzykiwania powtarzały się bardzo często, nieraz całymi seriami. Ofiarami padali jeńcy, przebywający na rewirze jako chorzy na gruźlicę, epileptycy z częstymi atakami, "bo nie warto ich już leczyć, za długo by to trwało nim wrócą do pracy", z czasem po prostu tacy, którzy podczas urządzanego przeglądu zdrowych i "Blockschonungu" nie spodobali się Niemcowi, lub na których z powodu opieszałości pracy skarżył się Lagerführer /SS-Uscha Rudi Janasch/. Żaden z tych więźniów nie został uśmiercony z wyroku Gestapo lub jakichkolwiek władz wyższych /to odbywało się inaczej z osobnym ceremoniałem/.

Wszyscy zginęli z powodu "widzimisie" Bahra. Na ogólną liczbę 150 - 200 zgonów w Bautzen, około 60 więźniów zginęło z ręki SDG Bahra.

Najwyższy stan liczebny obozu wynosił 600 osób, najwyższy stan na rewirze sięgał 300 osób. Wszystkim zmarłym musiałem wystawiać w trzech egzemplarzach świadectwo zgonu, które odchodziły do władz centralnych obozu i zdaje mi się miejskich. Zmuszony jestem obecnie wszystkie te podpisane przeze mnie świadectwa publicznie unieważnić gdyż wszystkim zamordowanym musiałem wpisać fantazyjne rozpoznania, podane przez SDG, a także niektórym innym zmarłym, aby uniknąć zbyt dużej liczby rozpoznań, brzmiących "Oedemkrankheit". Z tego samego względu nie przedstawiają wartości protokoły sekcyjne. Pamiętam, że po zamordowaniu Roztworowskiego przez blokowego z SK /Straffkompanie/ Vogla, zarządzono sekcję zwłok. Kolega który ją wykonywał i pisał później na rewirze protokoły, wymienił jedynie zmiany gruźlicze w płucach, nie pisząc o sińcach i o podbiegnięciach krwawych i złamaniach żeber, bo tych nie zauważył obecny przy sekcji Hauptscharführer Dehnelt.

Gdy chodzi o uwagi na temat toksykologii, nie mogę nie podzielić się obserwacjami z męczeńskiej śmierci mordowanych wstrzykiwaniami. Wzdrygnąć się musi każdy, uświadamiając sobie, że ci ludzie byli przedmiotem eksperymentów zwyrodnialca-stelmacha w mundurze podoficera SS, który nie mając pod ręką fenolu, do którego wzdychał szukał sobie jakiegoś innego środka. Jakkolwiek odrazą przejmuje temat i treść obłąkańczych zbrodni, jednak jako świadek naoczny i lekarz, obserwujący śmierć z otrucia, opowiem o nich.

Wspomniałem już, że stężony roztwór  $\text{KMnO}_4$  w ilości kilkudziesięciu ccm nie wywarł żadnego widocznego działania na prawie zdrowego kalekę /wygojone już złamanie kręgosłupa z niedowładem kończyn dolnych/. Nie działał też widocznie, wstrzyknięty również w dużej ilości umierającemu, który jeszcze kilka godzin później, wyniesiony na mróz, przez dłuższy czas konał. Czterochlorek węgla podany kilkakrotnie, prowadził do śmierci po dłuższej chwili wśród objawów duszności, krwistej piany z ust i nosa, sinicy, zanikania tętna. 30% perhydrol, wstrzykiwany dożylnie, nie wywołał nigdy nagłej śmierci. Bahr próbował również wstrzykiwać go dosercowo, jednak bez spodziewanego przez niego wyniku. Że perhydrol nie był rozłożony, jakby ktoś mógł przypuszczać, świadczy fakt, że gdy w czasie pierwszej takiej próby strzykawką lauerowską, ciśnienie krwi w komorze wysadziło nieprzytrzymywany z góry tłok i zawartość obryzgała mi twarz i ręce, na opryskanych miejscach skóry ukazały się natychmiast oparzeliny. Więzień ten w zdenerwowaniu dobity został świadrem stolarskim, wbitym w serce i obracany z wściekłością we wszystkich kierunkach. Raz wstrzyknięty dożylnie w tempie błyskawicznym ewipan /nie pamiętam 1 czy 2 ampułki/ młodemu Belgowi, choremu na gruźlicę, spowodował prawie natychmiastowe wstrzymanie oddechu i ustanie tętna, które jednak po upływie około jednej minuty powróciły w bardzo zwolnionym tempie. Choć chory zmarł wreszcie po dodatkowej infekcji  $\text{CCL}_4$ . Próbował również Bahr wstrzykiwać dożylnie w podobnych ilościach stężony roztwór sublimatu, co go również nie zadowoliło z braku widocznych objawów. Wreszcie wynalazł sobie SDG odpowiadający mu środek w postaci stężonego, technicznego kwasu solnego. Wstrzyknięty dożylnie lub dosercowo w ilości około 5 ccm, powodował śmierć po kilkunastu sekundach. Ale i to nie wystarczało bestii. Zachwycił się sam sobą, gdy pewnego razu wpadł na pomysł wstrzyknięcia kwasu dooponowo. Śmierć nastąpiła natychmiastowo. Odtąd to była jego metoda z wyboru. Skazańca sadzał na moim krześle /obiecujać mi nieraz, że i mnie tak posadzi, a w co nie miałem powodu nie wierzyć/, z głową opartą o złożone ręce, jednym rzutem ręki, z doskonałą wprawą wprowadzał igłę do cysterny podpotylicznej, wstrzykując natychmiast. Ofiara zwykle ani drgnęła.

Nie będę tu opisywał zwykłych chorób obozowych, np. wyniszcze-

nia na tle pokarmowym, bo te rzeczy omawialiśmy wielokrotnie na zebraniach towarzystw lekarskich. Chciałem tylko zauważyć jedną rzecz: przez cały czas mego pobytu w obozie przy niesłychanym nieraz odżywianiu, nie widziałem ani razu wrzodu żołądka, przeciwnie chorzy, którzy dostali się do obozu z wrzodem czasem przewlekłym, nieraz nawet krwawiącym, powiadali że po tym czarnym chlebie, kapuście i niedogotowanych burakach pastewnych /w myśl specjalnej instrukcji, aby nie tracić witamin/ czują się zdrowi. Z rzadka występowały objawy nadkwasoty, ale nigdy nie widziałem obrazu klinicznego wrzodu.

Wyszliśmy z obozów i weszliśmy w nowe warunki życia, które znów tak samo, jak te przedobozowe i jak te obozowe wpływają na nas i do pewnego stopnia kształtują nasze poglądy, nasze stanowisko duchowe i moralne wobec otaczających nas zjawisk. Nikt z nas chyba nie jest dokładnie tym samym, kim był przed wojną. Jedni byli odporniejsi, drudzy bardziej podatni. Było rzeczą niesłychanie trudną w takich warunkach obozowych dojrzeć granicę między fas et nefas.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.22.3.3.

Мн командир Красной Армии  
Ванюша Борис Иван Георгиевич 234 с/д 4/армии  
и сержант Токровский Борис Иванович 27 с/д  
Игоря Ивановича прошу всех советских организаций  
а также оказать содействие в издании  
Техническому Корпусу производственные материалы, сменную  
форму, обувь, и т.д. с его участием в учебно-  
тренировочном лагере к русским войскам в частности  
Большая Залеска.

15. IV. 45г.  
Бавтцен

Ленинград  
Токровский Борис Иванович 27 с/д  
Игоря Ивановича  
Бавтцен 46.

Борис Иван Георгиевич.  
Москва  
Пусаконская 46 Клавдия Ивановна  
Нарком Лехпром Карпичева  
Ленинград  
стр. Ленина № 97  
Токровский Борис Иванович  
Головина Antonina Sergeevna

Pamiętkowe autografy oficerów radzieckich dla Kornela Gibińskiego lekarza w Bautzen. Dalszy ich los nie jest znany. Nr arch. 3.22.1.2.